80. urodziny Mai Komorowskiej: Żyję też za tych, co odeszli

KULTURA 22.12.2017, 23:59

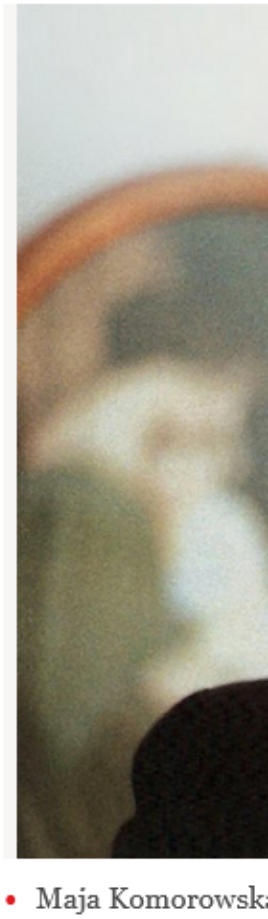

Maja Komorowsk

Tadeusz Sobolewski

0

FILM
MAJA KOMOROWSKA
TEATR

Nigdy jeszcze nie miałam 80 lat. Dopiero teraz. Zawsze mi się wydawało, że 50, 60, no, nawet 70, to jeszcze nie jest wielka zmiana. Ale 80?

Urodzinowe spotkanie z Mają Komorowską w Akademii Teatralnej, 11 grudnia. Na scenie czekają na swoją Profesor dawni uczniowie, wśród nich: Julia Kijowska, Agata Kulesza, Artur Żmijewski, Borys Szyc.

Prowadzący spotkanie Janusz Majcherek z udaną powagą dozuje napięcie: nie wiemy, co się wydarzy, pani Maja nie trzyma się scenariusza, lubi robić niespodzianki. Na hasło dane teatralnym szeptem - „już!" - Maja Komorowska zdecydowanym krokiem i z uśmiechem wychodzi na scenę. Robi się świątecznie, ale przy niej zawsze jest świątecznie. I ciekawie, bo z nią zawsze jest ciekawie.

REKLAMA

AD Preserve and scale YOUR CONNECTION WITH IT COMMUNITY Join IT Clus

W przeddzień Wigilii kończy 80 lat. W styczniu ukaże się rozszerzone wydanie jej głośnej książki „Pejzaż", w której opowiada Barbarze Osterloff o tworzeniu znaczących ról w przedstawieniach Jerzego Grotowskiego, Jerzego Jarockiego, Helmuta Kajzara, Jerzego Krasowskiego, Erwina Axera, Krystiana Lupy.

>> Przeczytaj recenzję wywiadu-rzeki Tadeusza Sobolewskiego z Mają Komorowską

Uroczystości nie pozwoliła nazwać „jubileuszem". A kiedy na scenę wjechał tort w kształcie piaskowego kopca, na którego szczycie tkwi uwięziona Winnie ze „Szczęśliwych dni" Becketta, nie dopuściła do odśpiewania „Stu lat". Uściskała Julię Kijowską za rockową piosenkę, jej hołd dla Mai. Zgodnie z przewidywaniami łamała scenariusz, mówiła z właściwym sobie połączeniem żywiołowości i precyzji o „pejzażach wewnętrznych" aktora, które wchodzą w obręb roli, o szczególnej „przestrzeni gry", w której spotykają się aktor i postać. Była też mowa o wspomnianej Winnie, postaci, która towarzyszy jej od 21 lat. Winnie żyje w Mai, a ona odnajduje w Winnie siebie.

Choć nie wiadomo, czy świat jeszcze istnieje, Winnie wita każdy nowy dzień, rozpakowuje i pakuje swoją torbę. Zapełnia pustkę swoim mówieniem. Opowiadać - znaczy żyć. W wykonaniu Mai Komorowskiej sztuka o absurdzie istnienia staje się jego pochwałą, mimo wszystko. Winnie daje życiu szansę: „To wspaniale, że przemija!". Ale to, co przeminęło, nie zostaje skasowane. To różnica - nie istnieć wcale a istnieć z „nieutuloną zgodą" na przemijanie i cieszyć się byle czym, okruchami życia.

REKLAMA

AD Children of Heroes Charity Fund Your gift of $17 will help a Ukrainian child stay warm DONATE NOW

Od pewnego czasu role Mai Komorowskiej stają się medytacją nad istotą gry. Jej aktorstwo to gra przeciwieństw. Trzeba czasem aż doznania absurdu, żeby zobaczyć dobro i sens. Trzeba ciemności, żeby zobaczyć światło. Maja Komorowska ma królewską władzę nad widownią. Sprawia, że znajdujemy się razem, w jednej przestrzeni.

Tęsknimy dziś do takich przestrzeni.

Tadeusz Sobolewski: Na przedstawieniu „Mimo wszystko" w warszawskim Teatrze Współczesnym jest zawsze komplet. Wiem, bo byłem kilka razy.

Maja Komorowska: Gramy tę sztukę z Wiesławem Komasą już 13 lat.

W sztuce Johna Murrella kreowana przez panią Sarah Bernhardt, wielka francuska aktorka drugiej połowy XIX w. i początku XX, rozlicza się z własnym życiem pod pretekstem pisania pamiętników. Próbuje przechytrzyć śmierć swoją grą. Mówi: „Starość, jak mi się to przytrafiło".

– Piękne zdanie. Tak to się właśnie czuje. Nigdy jeszcze nie miałam 80 lat, dopiero teraz. Zawsze mi się wydawało, że 50, 60, no, nawet 70, to jeszcze nie jest wielka zmiana. Ale 80? Czas może nas przekreślić, przygiąć do ziemi albo podwyższyć. I jeśli się ma ostrą świadomość czasu, to nie ma innego wyjścia niż budowanie dni następnych tak, żeby ich nie zmarnować. Dlatego nadzieja jest tak ważna: chciałoby się, żeby to, co było, nie uległo zmarnowaniu.

REKLAMA

AD UNITED24 MEDIA An Antidote to Russian propaganda Read

To będą pierwsze święta bez mego brata bliźniaka. Pierwsze nasze urodziny oddzielne. Cały ten rok to było niekończące się pasmo rozstań. Człowiek musi być bardzo silny.

A nie jesteśmy silni?

– Staramy się. Ten wiersz ks. Janusza Pasierba zawsze mówię na spotkaniach: „jakie to cudowne/ że ludzie ciągle mają odwagę/ żyć/ (...) widzą sens w prostych działaniach (...) skąd się bierze to męstwo/ ta wiara że trzeba". Winnie Becketta będzie trwała przez to, że ma przy sobie torbę. To jest porządkowanie życia. Ciekawe, że u Thomasa Bernharda, w sztuce „U celu", w której grałam, też jest pakowanie i rozpakowywanie, jako rytm życia, przypływ i odpływ.

Na czym polega to, co nazywa pani porządkowaniem życia?

– Dawniej bywało, że ludzie robili wieczorem rachunek sumienia. Porządkowali swój dzień. I nawet jeżeli uświadamiali sobie, że było coś złego, można to było poprawić i wtedy to mogło zaowocować.

> *Poruszające było dla mnie, że Wiktor Osiatyński każdego dnia zapisywał, za co może być wdzięczny. Imponująca była jego praca nad sobą.*

I ta przytaczana przez niego modlitwa Reinholda Niebuhra, odmawiana także w kręgach osób uzależnionych: „Boże, użycz mi pogody ducha, abym godził się z tym, czego nie mogę zmienić, odwagi, abym zmieniał to, co mogę zmienić, i mądrości, abym odróżniał jedno od drugiego". Jego ufność w to, że można się poprawić, potwierdzała moją wiarę, że w gruncie rzeczy od nas zależy, kim się stajemy. Można we wtorek poprawić to, co zaniedbaliśmy w poniedziałek. Poprawić wczorajszy dzień, nie odkładając niczego na później.

Przypomina mi się z dzieciństwa, jak mały człowiek się cieszył, że ma jakiś grzech do wyznania na spowiedzi. Myśli pani, że w naszym dorosłym życiu błąd może być twórczy?

– No właśnie, możemy się tak pocieszać, bo gdyby nie było błędu, mogłoby nie być owocowania. Dlatego tak potrzebne jest odblokowanie pamięci, ze wszystkimi szczegółami, żeby to, co człowiek przeżył, nie było daremne. Żeby to się dało zaprząc do życia.

> *Długi można spłacać. Można je spłacać przez całe życie. Tego, co się nie udało, nie musimy zamykać. Są sprawy, które trudno jest poprawić. Ale nasze myśli i uczucia, które z tego wypłynęły, można rozpromienić, rozjaśnić.*

To „porządkowanie" odbywa się nie tylko w nas, ono ma na pewno wpływ na drugiego człowieka. Porządkujemy się wzajemnie, tkamy wspólnie to nasze życie. Mając świadomość tego, co było, trzeba szukać sposobu na siebie. To mogą być drobne gesty. Ja na przykład od lat pilnuję się, żeby zdążyć wywiesić w windzie życzenia dla sąsiadów na Boże Narodzenie, na Wielkanoc.

To jest ta sama winda, gdzie przed laty została pani zaatakowana?

– Zapisałam dokładnie to zdarzenie. Byłam zaatakowana przez nieznajomego. Chciałam to włączyć do moich książek, ale za każdym razem usuwałam ten zapis w ostatniej chwili. Z nowego wydania „Pejzażu" też. To wywarło wpływ chyba na całe moje późniejsze życie. Obiecałam sobie wtedy, że jeśli z tego wyjdę, będę próbowała właśnie porządkować życie.

To była sytuacja graniczna.

– Można tak powiedzieć, ale w jakimś sensie stało się to dla mnie błogosławieństwem. Pozostało wolę porządkowania. Mam świadomość, że każdy dzień może być ostatni.

Mówi pani, że wszystkie wypadki przychodziły w czasie, kiedy była pani gotowa wyciągnąć z nich wnioski.

– Nie można tego zostawić czasowi. Takie zdanie wypowiada w sztuce Marguerite Duras „Szaleństwo" oskarżona o morderstwo Claire, którą grałam. Podczas przesłuchania mówi, że zostawiła wszystko czasowi. „Zobaczymy, jak daleko jest w stanie się posunąć". To czas ma się uporać z sytuacją, nie ona. Przerzuca na niego całą odpowiedzialność. To zdanie jest jak przestroga. Musimy się mierzyć z czasem. Walczyć. Nie możemy się poddawać, nawet jeżeli czujemy się bezsilni.

To brzmi jak wskazanie na dziś.

– Kiedyś spojrzymy wstecz i nie będziemy się mogli zwolnić z poczucia odpowiedzialności.

To dotyczy zarówno człowieka, jak i społeczeństwa. Nie tylko ja sam mogę przegrać w walce – my wszyscy możemy przegrać. Jakiś podszept mówi: zostaw, nie masz na to wpływu, nic się nie da zrobić, trzeba uznać, że tak musi być, i już.

– Idąc za tym podszeptem, można stracić szacunek do siebie, który potem trudno odzyskać. Nie jest wszystko jedno, w jakich czasach, w jakim momencie kończymy te 80 lat. Nigdy nie spodziewałabym się, że przypadnie to na czas tak trudny. Rozmawiamy 13 grudnia 2017 r. Czy wtedy, w stanie wojennym, można było przewidzieć to, co teraz dzieje się w państwie?

Na początku stanu wojennego ludzie powtarzali sobie różne pokrzepiające historie. Opowiadano o tym, jak wezwano panią do pałacu Mostowskich, czyli komendy MO. Wpadła pani rozpędzona, mówiąc: jak dobrze, że mnie tu wezwano, mam całą listę spraw do załatwienia, trzeba przekazać internowanym listy, lekarstwa...

– Cały czas mówiłam. Wiedziałam, że nie mogę przestać, bo jak zapadnie cisza, może się okazać, że moje jazdy do internowanych wtedy, w pierwszym okresie stanu wojennego, były bezprawne.

Potraktowała pani przeciwnika jak człowieka dobrej woli. I to pomogło.

– Pomagało zawsze. Na przykład z naczelnikiem więzienia rozmawiałam o jego synu i klasówce z matematyki. Szukałam tematów, które wytworzyłyby chociaż na chwilę jakąś wspólną płaszczyznę.

> *Kiedy w więzieniu w Lublinie dostałam prośbę o stół pingpongowy, który miał potem zostać dla zwykłych więźniów, powiedziałam: dobrze. I przywiozłam stół. Naczelnik spytał, co za to chcę. Powiedziałam: „To jest dobrze postawione pytanie – chcę się zobaczyć z internowanymi".*

I tak się zaczęły moje spotkania z nimi (rzadko ze wszystkimi, częściej z delegacją). Potem, kiedy jeździłam już do innych więzień z ramienia Prymasowskiego Komitetu i jakiś naczelnik nie pozwalał mi się zobaczyć z internowanymi, mówiłam: „A, rozumiem, u was jest takie ciężkie więzienie...". On się obruszał: „Jak to? Dlaczego pani mówi, że ciężkie?". Ja na to: „No bo w Lublinie mi pozwolono...".

REKLAMA

AD UNITED24 MEDIA Kidnap, Brainwash, Militarize —the Playbook of Russia's War on Ukrainian Children Read

W lubelskim więzieniu udało mi się zrobić nielegalny wieczór poezji. Powiedziałam naczelnikowi, że jestem bardzo zdenerwowana, bo mam występ na KUL-u i chciałabym przepowiedzieć sobie wiersze „tu, na miejscu, takie patriotyczne, wie pan...". Naczelnik się zgodził. Do piwnicy przyprowadzono internowanych ze strażnikami, a ja mówiłam Mickiewicza, Słowackiego. Było wzruszenie, łzy. Nagle wpada przestraszony naczelnik i woła: „Władza przyjechała!". I my po cichu zaczęliśmy wychodzić. Sytuacja jak z Mrożka.

Kiedy przywoziłam Pismo Święte, strażnicy też chcieli. Z początku więźniowie kryminalni nosili nasze paczki z żywnością, mandarynkami, papierosami. Wywalczyłam, żeby też coś dostawali z naszych darów i nie czuli się tak zupełnie odrzuceni.

Na spotkaniu urodzinowym w Akademii oglądaliśmy fragmenty pani pierwszego przedstawienia dyplomowego „Przy stole" na motywach z Czechowa. Oparte na sprzecznościach, rozpięte między śmiechem a płaczem, komizmem i tragizmem, euforią i smutkiem. Falujące nastroje. Postacie, które siedzą przy stole weselnym, są jakby jednym organizmem.

– Pan młody całuje pannę młodą i wszyscy zaczynają się całować. Ktoś smutny zaraża smutkiem innych. Na początku jest tak, jakby oni wybierali sobie role, nakładali je na siebie. Ktoś staje się panną młodą, inna dziewczyna staje się matką. Każdy szuka jakiejś możliwości zaistnienia i w końcu wszyscy razem siadają do stołu.

To przypomina terapię – wyjście poza siebie, połączenie, oczyszczenie. Agnieszka Glińska, pani uczennica, wspomina, że pani tak konstruuje początek przedstawienia, żeby „uwolnić widza od poczucia teatralnej sztuczności, żeby wiara w sceniczny świat wynikała z umowy, a nie z odgórnie narzuconej konwencji". Jest w tym dążenie „do wspólnego oderwania się i trwania w kontakcie z czymś większym". I dziś, kiedy zagarnia nas jeszcze nierozpoznana epoka, najtrafniejsze okazuje się to, co mówią pani autorzy: Beckett i Bernhard, Dostojewski i Czechow. To ci, którzy dotykają ciemnych stron życia. Ale – jak mówi Bernhard – „w ciemności słowo zaczyna świecić".

– Miałam niedawno taki sen. Jest niekończąca się aleja starych drzew. Korowód ludzi odchodzi, dalej i dalej. Widzę niknące postacie, rozpoznaję tylko niektóre. Jest ich coraz więcej. Idą przemieszani, bez względu na swoje życiowe role, na daty śmierci. Moi bliscy, moi mistrzowie. Nie widzą mnie, a ja stoję u wejścia do tej alei, na progu, z półotwartą pustą walizką, wychylona ku nim, ale jeszcze tu. I budzę się z myślą, że jest to jedyna podróż, w którą nie zabiera się bagażu.

Ten rok to litania strat: Danusia Szaflarska, Wiktor Osiatyński, Janusz Głowacki, Grzegorz Miecugow, Wojtek Młynarski, Wiesio Michnikowski, Władek Kowalski...

W tej mojej alei ze snu nikną ci, z którymi pracowałam: Erwin Axer, Ewa Starowieyska, Tadeusz Różewicz, Tadeusz Konwicki, Andrzej Łapicki, Edward Żebrowski, Waldemar Dziki, Gustaw Lutkiewicz, Gustaw Holoubek, Andrzej Wajda...

A mnie niedawno śniła się pani. I też byli ludzie, którzy gdzieś szli. Pani nie szła z nami, tylko pojawiała się, znikała, z uśmiechem zabiegała nam drogę, jakby nas wszystkich witała, żeby przekazać jakąś dobrą wiadomość.

– Mam poczucie, że musimy teraz żyć za siebie i za tamtych, co odeszli. Nasze życie jakby się zwielokrotniło. Życie prywatne jest wpisane, rozkrzyżowane na tym, co dzieje się wokół nas.

Zaproś znajomych do dyskusji

Odblokuj dostęp do tekstu swoim znajomym

wyborcza.pl